

Życzę wielu łask Bożych i pomyślności na dalsze – ciągle jeszcze aktywne zawodowo lata realizacji kapłańskiego powołania.

Życzę tej szczególnej satysfakcji, że – patrząc z perspektywy dzisiejszego Jubileuszu – Bóg pozwolił przeżywać to kapłaństwo mądrze i owocnie.

A my wszyscy, zebrani na tej uroczystości zapewniamy o naszej modlitewnej, pełnej wdzięczności pamięci.

WOJCIECH PRZECZEWSKI

Ksiądz Władysław Koska – redaktor „Katechety”

Moi przedmówcy przedstawili piękny dorobek naukowy i wychowawczy Księdza Profesora. Dla mnie ks. Koska był po prostu szefem. Jestem związana z „Katechetą” od 1975 roku, tj. od 23 lat; z tego prawie 12 lat współpracy z ks. prof. Marianem Finkem i 11 lat (1986-1997) pod opieką ks. prof. Koski.

Po odejściu ks. Finke pozostałam w redakcji sama przez kilka miesięcy. Były wtedy chwile niepokoju: kto będzie następcą?!... W październiku 1986 r. nominację otrzymał ks. prof. Koska. Odetchnęłam z ulgą, ponieważ już znaleźliśmy się ze sporadycznych kontaktów wydawniczych. Na *pierwszy ogień* opracowaliśmy prawie cały numer (1/1987) poświęcony założycielowi i pierwszemu redaktorowi „Katechety”. O wspomnienia poprosiliśmy zaprzyjaźnione ze śp. Zmarłym osoby, takie jak: abp Jerzy Stroba, ks. Jan Charytański SJ, ks. Władysław Kubik SJ, ks. Michał Maciołka – ówczesny dyrektor Księgami Św. Wojciecha, ks. Roman Murawski.

Potem nastąpiły już zwykłe lata pracy. Był to najtrudniejszy okres dla księzek i pism katolickich. Po latach trudnych, kiedy o przydział każdego kilograma papieru trzeba było staczać boje, kiedy z każdym artykułem trzeba było kilkakrotnie chodzić do cenzury (wydeptywałam w tym kierunku ścieżki przez 17 lat), na skutek zmian ustrojowych i gospodarczych, nastąpiły lata chude dla wydawców. Wszystko to, co do tej pory sprzedawało się *na pniu*, na skutek dużej konkurencji zaczęło zalegać półki księgarń. Za czasów PRL-u redakcja otrzymała zezwolenie na druk 6.500 egz. naszego pisma i ściśle tyle przydzielano papieru. Czytelnicy czekali więc w kolejce aż się ktoś wykruszy z listy prenumeratorów, aby otrzymać „Katechetę”. To się jednak szybko zmieniło, nakład zaczął spadać...

Redakcja mieściła się w maleńkim pokoiku 2 × 3 m na ostatnim piętrze w Księgarni Św. Wojciecha. Dlatego cała poczta była przenoszona w dwóch granatowych *anuszkach* Księdza Profesora do jego mieszkania przy Placu Kolegiackim (co to jest anuszka? – powie Ksiądz Profesor. *Jest to siatka z materiału na zakupy w okresie kryzysu gospodarczego: «a nuż coś rzucą»*). Tam też dojrzewiały kolejne numery „Katechety”, a omawianie każdego poprzedzał specjalny rytuał: przychodziłam punktualnie na godz. 10⁰⁰, powitanie przy drzwiach, spacer przez

długi korytarz, przez duży pokój gościnny, drugi długi korytarz do wielkiej kuchni, nastawianie wody na moją herbatę i małą czarną Księdza Profesora (zawsze były jakieś ciasteczka), nakrywanie serwetą stołu, parę chwil wypoczynku i serdecznej rozmowy o sprawach domowych przy kawie. Potem już było omawianie kolejnego numeru pisma. I znów, tym razem w moich reklamówkach, wędrował materiał do mini-redakcji przy Placu Wolności do adiustacji, wszelkich korekt – aż do ukazania się kolejnego numeru. Nie było nam łatwo. Byłam sama. Urlopy i wszelkie niedomagania zdrowotne trzeba było skrzętnie odpracować. Nie było też komputerów a pismo składano w drukarni na wielkich maszynach – linotypach, gdzie topiło się specjalny stop ołowiu do odlewania czcionek.

Wspominam coroczne imieniny Księdza Profesora – 27 czerwca. Były i są to przemile, uroczyste spotkania, gdzie zawsze zbierają się gromadnie przyjaciele i uczniowie. Przy tej okazji miałam przyjemność poznać rodzinę Jubilata (i niezapomnianą kuzynkę Księdza Profesora Panią Krystynę. Specjalnością domu były serwowane drinki – według własnej receptury – których nigdy nie udało mi się skosztować, z bardzo prostej przyczyny. Po prostu jestem uczulona na niektóre składniki słynnych już dziś napojów.

Księżo Profesorze. Za wszystko, a przede wszystkim za przyjaźń i 11 lat współpracy bez żadnych konfliktów – Bóg zapłać!

KRYSTYNA WĄSOWICZ

Nasz przyjaciel ksiądz profesor Władysław Koska

Z księdzem Władysławem, czyli ówczesnym Władkiem znamy się od października 1946 roku. Spotkaliśmy się na I roku studiów polonistycznych Uniwersytetu Poznańskiego. Nasz rocznik liczył około 120 osób i był zróżnicowany wiekowo. Wynikało to z uwarunkowań okupacyjnych, tzn. możliwości uczenia się na ogół tajnie (głównie w Generalnej Guberni) – ci stanowili młodszą część roku, natomiast do drugiej części należeli o kilka lat starsi, którzy w czasie okupacji pracowali, często przymusowo, fizycznie (z Wielkopolski, Śląska) – do tych należeliśmy my. Tak więc rozpiętość wieku wynosiła od 17-28 lat. Dziwnie się złożyło, że wśród owej licznej grupy I rocznika w ciągu dwóch tygodni zaprzyjaźniło się nas czworo: Staszka Kaszubska (z Żółkwi), Monika Mrozówna (z Markłowic koło Wodzisławia Śl., po maturze w Lublińcu Śl.), Władek Koska (z Piechanina) i Kazik Gulczyński (z Gostynia). Trudno dziś sprecyzować co zdecydowało o powstaniu naszej przyjaźni w tak krótkim czasie. Może podobieństwo charakterów, poczucie humoru, chęć wypełnienia luki swoistej samotności w przykrym okresie okupacji? Staraliśmy się wzajemnie wspierać w toku studiów. Władek pracował w biurze dyrekcji PKP przy ul. Skarbowej, obecnie St. Taczaka, mieszkał u braterstwa przy ul. Strza-